

ZOFIA GRZESIAK

## DZWONY PASCHALNE

Niedzielnny poranek był piękny. Wiosenne niebo przypominało szafirową szatę bez odrobiny kurzu, z lekkim połyskiem czerwieni spadającej ze wschodzącego słońca. Szara mgła kłębiąca się na moczarach chyżo unosiła się do góry, odsłaniając nasycony wodą kobierzec zielonych traw.

Cerkiewne dzwony wesoło dzwoniły. Jarzma skrzypiały, woły taborem ciągnęły czysto wymyte wozy, na których stały kobiałki z paschą. Dzieci i kobiety w barwnych chustkach, z mnóstwem koralu na wychudzonych szyjach, z wielką pożądlivością spoglądały na zawartość znajdującą się pod białymi jak śnieg płóciennymi chustami. Sześciotygodniowy post wygłodził ciało, żołądki aż piszcza.

Słońce przygrzewa. Wróble jak oszalałe skaczą ćwierkając po obsypanych pachnącymi baziami wierzbach. Skowronki wiszą dzwoniąc w przestworzach, koła turkoczą i napełniają wesołością dusze gospodarzy, którzy spodziewają się, że urodzaj będzie w tym roku dobry. Pascha jest chwała Bogu ciepła, wody opadły, bydło ma dużo paszy, a żyto rośnie w oczach. Wiśniowe sady są aż białe od kwiatów. Przez całą drogę, jak okiem sięgnąć, ciągną zaprzęgi z paschą do święcenia. „Isus woskres, woistienno woskres”, pozdrawiają siebie gospodarze nawzajem.

Dzisiaj każdy jest po spowiedzi, każdy stara się w tym wielkim dniu nie grzeszyć, nikogo nie gniewać, choćby przez ten jeden dzień, w którym panuje ogromna radość.

„Cztery kopiejki, piąty dam-dam-dam”, biją cerkiewne dzwony. Dzwoni cerkiewny dzwon w Horodcu, dzwoni w Korostu, a ich spizowe głosy, jakby współzawodniczyły ze sobą, nawet z Werbcza słyhać jak wiatr niesie odgłos dzwonów, jakby gdzieś stado ptaków dzwoniło. Choć ranek jest już późny, a cienie rzucone słońcem cofnęły się pod stodoły, dymu z kominów nie widać. Kominy też świętują, tylko bociany na strzechach, stojąc na jednej nodze klekoczą, dziękując Bogu po swojemu za ciepły ranek, za obfitość żab rechoczących w sitowiu. Dzisiaj w piecu nikt nie pali, wszyscy świętują. Kobiety przed samą Paschą miały pełne ręce roboty, kilka nocy za koleją nie spały. Trzeba było chatę wybielić, krosna z domu wyrzucić i płótna świeżo utkane kijanką uprać, by były bielsze, i gąsięta pilnować, bo wygłodniały jastrząb tylko czeka, żeby porwać złapane gąsiątko.

Kto jest choć trochę bogatszy ten bije wieprza, żeby kielbasy

narobić, trzeba też zrobić odrobinę masła i proszę gryczaną kaszą nadziać i upiec, a najtrudniej to samą paschę przygotować.

— Dawniej było inaczej — wspomina macocha. — Upiekło się stos palanic, z kopę blinów, prosiakowi wsadziło się do ryja kawał chrzanu, umaiło barwinkiem, do tego z pięć, sześć kraszanek, batuszka poświęcił i już. Teraz musi być całkiem inaczej — mówi zmęczonym głosem do pasierbicy i do swej córki Hapki. — Teraz musi być koniecznie biała mąka z drożdżami, szafranem i cukrem, a diabli wiedzą jak takie ciasto upiec. W dzieży od chleba nie rozczynisz, bo kwasem przejdzie.

Nareszcie te wszystkie kłopoty minęły. Okrągłe buły niby weselne korowaje leżą obok upieczonego prosiaka. Macocha przytrzymuje kobiałkę ręką, by się nie wywróciła i obciąga białą chustkę przykrywającą paschę, by kurz unoszący się na drodze nie dostał się do wewnątrz. Obok macochy siedzi jej pasierbica, a z drugiej strony kobiałki, jej córka Hapoczka. Stiopa prowadzi woły na postronku. Mijają ich po drodze parobcy ubrani świątecznie i barwnie. Kołnierze wyszywane czarną i czerwoną nicią, zapinane na perłowe guziki z boku. Gdzieniegdzie tylko widać staromodną kurtę, obszytą wełnianym sznurkiem, którą ma na sobie jakiś stary gospodarz. Trudno mu jakoś przyzwyczać się do czarnych kaftanów i sztruktowych spodni zasnurowanych na kolanach i wsadzonych do błyszczących butów z cholewami.

Dziewczęta też przeważnie w wysokich, sznurowanych do kolan mazurskich bucikach. Czarne albo żółte pończochy, które bardzo często zsuwają się z nóg i trzeba je podwiązać sznurkiem lub gumką wpijającą się w ciało, że aż wytrzymać nie można. I kwiciste spódnice, obszyte kolorowymi wstążkami i sfałdowane jak harmonia z aksamitną listwą na dole, szeroką na dłoń. Głowy ich niczym ogród z kwiatami, a chustki mienia się różnymi kolorami jak tęcza. Jakiegoż koloru na tych chustkach nie znajdziesz: i czerwony jak krew, i zielony jak las, i niebieski jak niebo, i żółty jak słońce. Na dodatek te kolory na głowach zmieszane z najróżniejszymi kwiatami, jakie Bóg stworzył, a człowiek podpatrzył i pracowitą ręką na dziewczęce głowy przeniósł.

Tylko stare gospodynie nie zdradzają dawnych obyczajów i nakryły sobie głowy czepcami z namitką z czerwonym rancikiem, na pamiątkę ich młodych lat, kiedy jeszcze czarnych kaftanów nikt nie znał. „Gospodarze ubierali się we własne sukno i Boga chwalili” — myśli niejedna z nich, odwracając głowę by nie zakłócić w tym wielkim dniu, kiedy każde stworzenie pana Boga chwali i śpiewa „Isus woskres, woistienno woskres”.

Pajka również ubrała się dzisiaj ładnie, bo jak długo można płakać i rozpaczać? Młodość domaga się swego. Chciałoby się pośpiewać i na wieczornicy potańczyć i chciałoby się w kimś od nowa zakochać, bo co do poprzedniego to już nawet mowy nie ma, choć jeszcze od czasu do czasu jakby ktoś wyrwał kawał serca, a najgorzej wtedy, kiedy słyszy wśród młodych parobków jego głos.

Jest taka przeklęta miłość, która trzyma się pazurami. Kiedy jeszcze żył jego syn, wtedy jakby trochę zapomniała, gdyż serce,

rozum i wszystkie myśli były zajęte Pajączkiem. Rzadko przychodził na myśl jego przeklęty ojciec, choć tak był podobny do niego, jakby to jedna i ta sama twarz. Wtedy tylko myślała jak go nakarmić, napoić i samej się nażreć, by mały nie ciągnął pustej piersi. I wystarczyło. Teraz już nie wystarcza, bo na małym kopczyku kwitnie dmuchawiec, posiany bożym wiatrem, a nad nią kwitnie tęsknota i to za kim, aż wstyd się przyznać.

„Chrystos woskres, woistienno woskres” słyhać naokoło. Pajka powtarza szeptem te słowa i patrzy na jaskrawo ubrane wesole dziewczęta, a tam z tyłu idzie obok Aleksandry, jej syn Josip. Niesie przewieszony przez ramię słomiany koszyk nakryty szarym płótnem i zrównawszy się z ich wozem, woła głośno: „Chrystos woskres!”

Pajka objęła go wzrokiem. Aleksandry syn nie był ubrany jak ci, co szli przodem. Na nogach miał łapcie i siwe znoszone spodnie, mocno zasznurowane w kostkach sznurami z końskiego włosia, a do tego wytarty, stary pindzak. Tylko czapka z lśniącym daszkiem była taka sama jak u innych. „Aleksandry syn nosi się po starykowski. Ukraść nie umie, sprzedać nie ma co, to i kupić nie ma za co...” — pomyślała Pajka.

Za Josipem dosyć daleko kuśtykał opierając się na sękatym kiju jego dziadek, stary Pawlej. Co też oni włożyli do słomianej koszałki? Czy choć mają jedną białą bułkę? Pajka wodzi wzrokiem w ślad za kołyszącą się na ramieniu Josipa śmieszoną słomianą koszałką.

Dzwony dzwoniły coraz głośniejsze. Był to znak, że cerkiew się zbliża. Wokół cerkwi na zielonej murawie stało mnóstwo furmanek zaprzężonych w konie i woły; nawet kilka pańskich fajetonów i bryczek pomalowanych na brązowo stało nieco z boku. To przyjechała poświęcić paschę dziewczynka Pawlina ze swoją siostrą Teodorą i Czapelską z córkami.

— Be, be, be, ksobe, — podganiał Stiopa swoje duże, rogate woły bliżej do środka, by nie znalazły się za bardzo w tyle. Miał wielką ochotę stanąć obok bogatego Timoszki, Szymona i innych znanych z zamożności gospodarzy.

Wstydzic się nie miał czego. Jego wypasione holendry miały rozłożyste rogi i lśniącą sierść jakby masłem posmarowaną, a kobiałka z paschą ważyła więcej niż pud, aż się zasapał taka była ciężka. Charyta, jego nieślubna żona, wszystkiego ponakładała do kobiałki. Krąg kiełbasy, dziesięć kraszanek, gułkę masła, miskę sera ze śmietaną i dużego prosiaka, takiego, że wystarczy go jeść aż do przewodniej niedzieli. „Żeby tylko batiuszka nabożeństwo szybko odprawił i kazania nie ciągnął do południa tylko szybko paschę święconą wodą pokropił” — myśli Stiopa wciągając nozdrzami różne zapachy cisnące się siłą do łakomego gardła.

W cerkwi śpiewa wielki chór. Śpiewają wszystkie wiejskie szlachcianki. Diakona córka, piękna Marusia, co kuma się ze zwykłymi wiejskimi parobkami, a jest taka dorodna, że aż oczy swoją urodą młodym wysmala, i nauczyciela obie córy, które uczyły się śpiewu w szkołach, i Czeska, której mąż się zastrzelił, bo mu coś na tym świecie przeszkadzało, i kilka zwykłych młodych, wraz z Anną Totowiczanką, co przez okrągły rok śpiewa w cerkiewnym chórze.

Nareszcie nabożeństwo odprawione. Świaszczenik schodzi z kazalnicy, cały w złocie, które na nim lśni niby słońce. Diakon grubym głosem ciągnie „Hospodi pomiłuj, Hospodi pomiłuj nas”, aż ciarki przechodzą po ciele. Ot, nasz diakon wyhodował sobie głos — myśli Stiopa, patrząc na potężne ciało opięte czarną do samej ziemi sięgającą riasą. „Chrystos woskres”, drży cerkiew w palisadach. — Woistienno woskres — odpowiada tłum wiernych.

Pajka z pochyloną głową stoi obok bocznych drzwi. Choć nie patrzy, widzi, że jej dawny kochanek stoi obok dziewczyny. Ona ma chabrową chustkę na głowie, a po jego włosach skaczą promienie słoneczne.

Nogi pod Pajką się uginają, ucieka wzrokiem z tamtej strony i zaczyna patrzeć na obraz Matki Boskiej, przed którą palą się dwie duże woskowe świece. Niedaleko niej stoi Josip i żegna się dwoma palcami powtarzając za diakonem „Hospodi pomiłuj, Hospodi pomiłuj”, a zamiast patrzeć na ikonostas, patrzy na Pajkę i tak mu błogo na sercu, że ona widzi, iż Andrusza stoi razem ze swoją dziewczyną, że ostatnią zapowiedź dzisiaj batuszka ogłosi. Szkoda mu, że Pajka tak się mitręży, że jej oczy biegną w tamtą stronę, a potem się cofają, jakby zobaczyły coś bardzo strasznego. Ale kłamka nareszcie zapadnie. Przestanie się łudzić, obmyśli, obduma, zacznie myśleć o kim innym i może się zgodzi.

Odwraca głowę od ikonostasu, spuszcza oczy i szuka na cerkiewnej podłodze jej stóp, czy są ozute w jego lipowe łapcie. Cóż, taki podarek mógł jej tylko dać. Salisowej chustki nie miał za co jej kupić, bo wesel po świętych koladach było w tym roku niewiele, w dodatku takiego muzykanta jak jego dziadek, stary Pawlej, nikt już nie chce brać. Młodzi, którzy się żenią, zastrzegają sobie, by na ich weselu była prawdziwa orkiestra ze skrzypcami, z klarnetem i z dużym bębniem, by grali krakowiaki, walce i skoczne polki, a nie jak jego dziadek co to gra na wystruganych skrzypcach „Ty do mene, ja do tebe”. Chłopcy z dziewczuchami chcą już tańczyć po nowemu z obłapywaniem, z przyciskiem, aż mało nie wliżą na siebie, tak się w tańcu przytulają i przytupują. „Ja wiem — myśli Josip — gdybym był choć trochę zamożniejszy, lub choć gospodarskim synem, a nie znajdą Karasińskiego, co mnie zmajstrował i gdybym ja miał choć kawałeczek pola i kilka sztuk bydła w chlewie, inaczej by o mnie Pajka myślała. Przecież ze mnie kawaler jak się patrzy. Dziewuchy się za mną oglądają, tylko żadna by nie chciała wyjść za mnie za męża, bom nie chozjajskim synem, tylko leśniczego bajstrem. Ale Pajka również nie ma się czym chwalić” — rozważa Josip ni to ze smutkiem, ni to z zadowoleniem.

Świaszczenik najpierw poświęcił koszyczki trzymane białymi rączkami, pachnącymi mocniej niż kadzidło, potem kobiałki co zamożniejszych gospodarzy. Na ostatek rzucił kilka kropel święconej wody na śmieszny słomiany koszyk starego Pawleja. Wozy zaskrzypiały, i niby tabor wojenny wracali wierni ze święconą paschą do domu.

Pajka na wóz nie usiadła. Wiedziała, że macocha nie wytrzyma i przygada, iż świaszczenik ogłosił ostatnią zapowiedź Andruszy, że Andrej Nikołajewicz Liń pojmie za żonę Chwedosiję Iwanowną

Saprun. Obrzuciła smutnym wzrokiem cerkiew i zwróciła się do ojca rzekła: — Wy jedźcie do domu, ja pójdę pieszo. I nie patrząc na nikogo poszła na cmentarz. Musiała pójść. Chciała synka pozdrowić, powiedzieć mu „Isus wskres” i dać mu znać, że jego batko się żeni.

— A ty dokąd? — zawołał ojciec. — Chyba zdurniała. Jestem głodny, że mało nie zemdleję z głodu, a ona się gdzieś powlokła. Po śniadaniu mogłaby pójść na mohyłki, a nie teraz.

Pajka nic nie odrzekła, nawet się nie obejrzała.

— Ot liche nasienie, choćbyś nie wiem co robił, ona zawsze chodzi swoimi drogami, nawet w Wielikdeń, nawet kiedy Isus Chrystos wskres.

— Jedź, czego stoisz? — zwróciła się macocha do Stiopy, podgarniając pofarbkowaną sinką koszulę, jakie nosiły kobiety w Horodcu i Swaryniach. Choć już sporo lat minęło jak żyje na wiarę ze Stepanem, ubierała się wciąż po swojemu, nawet onuce miała farbkowane.

— Ksobe — klepnęła woła po boku. — Nie będziemy czekali. Nie jest małą dziewczynką. Wie, że dzisiaj jest Wielikdeń, że Isus Chrystos wskres i trzeba zjeść święcone śniadanie po bożemu.

Pajka nie słyszała o czym rozmawiała macocha z jej ojcem, tylko od razu odnalazła mogiłkę swego synka. Kopczyk był już zarośnięty zielonym barwinkiem. Wokół niego kwitły żółte dmuchawce, a gdzieś niedaleko biała kaszka kołysała się na cieniutkiej łądźce.

Dotknęła ręką krzyża, siedział mocno w ziemi, choć wiosenna woda z pola płynęła tędy wartko. Uklękła, głowę oparła o mogiłkę. Była zimna, przyjemnie chłodziła rozpalone czoło. Odmówiła „Ojczy nasz” i modlitwę za spokój duszy synka, i dodała szeptem: „Pajaczku, powiedz Bogu, że twój batko z nas zakpił, że już wyszła trzecia zapowiedź. I poproś synku Boga, by pomógł twej matce zrzucić ten ciężki kamień z pleców, bo już go dosyć dźwigała”.

Wstała z klęczek. Otrzeпаła ziemię ze świętecznej spódnicy i powoli, powoli, jakby nabierała rozmachu, zaczęła schodzić w dół do bramy.

— Isus wskres.

— Woistienno wskres — odrzekła, nie widząc, kto ją pozdrawia.

— Należałoby się pocałować — powiedział ten sam głos.

Raptem odwróciła głowę.

— To ty? Ty jakoś zawsze tam wyrośniesz, gdzie cię nie posieją.